

Oddychanie pod wodą

Historia walki i nadziei



Neta Ka

BookEdit

Ta książka jest oparta na moich osobistych doświadczeniach i prawdziwych wydarzeniach. Wszystkie opisane wydarzenia są autentyczne, ale w celu ochrony prywatności osób zaangażowanych niektóre imiona i inne szczegóły zostały zmienione. Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych osób lub sytuacji jest przypadkowe.

Oddychanie pod wodą

Historia walki i nadziei



Neta Ka

BookEdit

Copyright © Neta Ka, 2024

Projekt okładki: Dawid Duszka

Ilustracje na okładce: © freepik / amirhamza642 / macrovector / dantesadig

Redakcja: Magdalena Ceglaz

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-68032-48-2

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

Prolog

Koniec. Wszystko się skończyło. Czułam, że moje życie dobiegło końca w każdym jego wymiarze. Po prostu to czułam. Ta myśl wypełniała mnie, krzyczała w każdej komórce mojego ciała. Huczała w mojej głowie. Koniec! Zaciskałam zęby i wiedziałam, że to prawda. W tamtej strasznej chwili nic nie było prawdziwsze. Nic!

Ból, rozpacz, przerażenie. Ból. Rozpacz. Przeważenie. Nawet nie jestem w stanie wyrazić, co wtedy czułam. Ból, rozpacz, przeważenie. A może coś więcej? Nagle poczułam się jak przedmiot. Jak rzecz, którą ściga się z półki, tylko gdy jest potrzebna, a potem ciska się ją w kąt. To było okropne przeżycie, nie tylko w odczuciu fizycznym, ale również psychicznym. W tamtej chwili coś we mnie pękło. Moje życie zostało roztrzaskane i wiedziałam, że już nigdy go nie skleję, nie złożę w całość. Jednak musiałam jeszcze żyć, dla moich córek. Musiałam, chociaż moje prawdziwe życie dobiegło kresu. Dla nich musiałam być silna. Wiedziałam tylko jedno – on nigdy się nie zmieni. On. Mój mąż. Rafał.

I pomyśleć, że zaczęło się tak niewinnie, niemal idyllicznie. Jak mogłam w to uwierzyć? Jak mogłam być taka naiwna?

To był sobotni wieczór – czas, gdy już po uszy tkwi się w weekendowej błogości, gdy większość ludzi rozkoszuje się zwykłym nicnierobieniem. To najbardziej zdradliwy czas. Człowiek szuka wtedy oddechu po codziennej pracy i obowiązkach, przestaje być czujnym, chce zwyczajnie odetchnąć. W takiej chwili najłatwiej kogoś podejść, oszukać.

– Jaki przyjemny, sobotni wieczór – stwierdził Rafał i westchnął głośno, jakby miał na barkach wszystkie nieszczęścia świata. Zawsze lubił takie pozerstwo, teatralne gesty na pokaz. – I tak spokojnie – dodał.

Tak, spokojnie. Byliśmy sami w mieszkaniu. Jedna córka była u dziadków, a druga wyjechała na kolonię. Był środek wakacji i dni zdawały się płynąć wyjątkowo leniwie. Tak, było spokojnie.

Od rana Rafał był dziwnie miły. Powinna zapalić mi się lampka alarmowa, ale nic takiego się nie pojawiło. Czy to dlatego, że był upalny dzień? Że była sobota i nie miałam już ochoty myśleć o niczym? Brak czujności. Zawsze był dla mnie miły, gdy poprzedniego dnia zarzucał mnie stosem wyzwisk, upokarzał, bił, dręczył. Jakby chciał odpokutować swoje winy.

Nadszedł więc tamten sobotni wieczór, o którym nie potrafię zapomnieć.

– Może obejrzymy razem film? – zaproponował Rafał. – Znalazłem naprawdę fajne kino. Idealne dla mnie... dla nas.

Wzruszyłam ramionami. Byłam tak zmęczona po całym tygodniu obowiązków, że nie miałam dużych wymagań co do wieczornej rozrywki. W końcu bezmyślne gapienie się w ekran, nawet na nudny film, nie było zbyt wymagającym zajęciem i zupełnie mi to odpowiadało tamtego dnia. Przemknęło mi nawet przez głowę, że będzie nudno, ale przynajmniej spokojnie. Cóż, nadzieja matką głupich!

– Może rozłożymy łóżko, żebyśmy mogli się wygodnie położyć? – zaproponował nagle mój mąż i dodał szybko: – Jestem dziś wykończony. Wszystko mnie boli.

Znowu odpowiedziałam wzruszeniem ramion. Nie miałam ochoty wdawać się z nim w dyskusję. Zamiast tego skupiłam się na głaskaniu Maksa – naszego psa. Nasze córki go uwielbiały, ja zresztą też go kochałam. Było w nim tyle miłości! Potrafił tak ufnie patrzeć na nas swoimi ciemnymi ślepiami. Przekrzywiwał przy tym zabawnie łebek, jakby dziwił się całemu światu. Może rzeczywiście tak było?

Maks spojrział na mnie i pisnął, jakby przeczuwał, że przyszłość jest mroczna, ciemniejsza niż jego ufne oczy. Tylko że nie potrafiłam wtedy odczytać jego znaków. Uświadomiłam je sobie dopiero po czasie.

– Może zrobię nam po drinku? – wtrącił Rafał. – Przecież nie będziemy tak siedzieli o suchym pysku.

W dalszym ciągu skupiałam się na głaskaniu psa.

Rafał wrócił z kuchni po kilku minutach. Przyglądał mi się przez chwilę, ściskając w dłoniach pełne szklanki. Wyglądał na nieco zmieszanego. Chociaż chyba mi się zdawało...

– Twój – mruknął, podając mi drinka.

Umoczyłam usta w alkoholu z dodatkiem soku pomarańczowego. Smak był intensywny, kwaśny, ale przyjemny. Kiwnęłam głową i ułożyłam się wygodnie na łóżku przed telewizorem. Nie pamiętam już, jaki film włączyliśmy. Nie miało to znaczenia. Zatopiłam się w błogim relaksie. Po prostu byłam. Bez żadnego myślenia, bez żadnych zobowiązań. Tylko trwanie i smak wyborczego drinka.

Obudziłam się nagle. Jakby mnie coś wyrwało ze snu. Brutalnie i bezwzględnie. Poczułam, że ktoś na mnie leży i mocno mnie ściska.

Nagle zamarłam. Zrozumiałam, że Rafał był we mnie! Czułam jego wściekłe pchnięcia. Nie wytrzymałam.

– Rafał! – wrzasnęłam. – Przestań! Przestań!

W odpowiedzi uderzył mnie w twarz, a z moich ust znowu wyleciał wściekły krzyk.

– Zamknij się! – zażądał, sapiąc coraz głośniejszym głosem. – I tak cię nikt nie usłyszy! Zamknij mordę, suko!

Nie posłuchałam, za co ponownie uderzył mnie w twarz.

– Kurwa, jesteś moją żoną czy nie? – wrzasnął. – Masz mi dawać dupy, kiedy chcę! Rozumiesz? Rozumiesz, suko?!

Zaczęłam się szarpać i wierzgać. Próbowałam go z siebie zrzucić za wszelką cenę. Było we mnie mnóstwo determinacji. Wypełniała mnie wściekłość.

I wtedy doszło do mnie skomlenie Maksa. Piszczął coraz głośniejsze. Odwróciłam głowę i zobaczyłam kątem oka, jak siedzi przerażony. Wiedział, że dzieje się coś złego. Bał się Rafała, bo ten już raz pobił to biedne zwierzę. Maks skomlał coraz głośniejsze.

Mój krzyk.

Pisk psa.

Mój wrzask.

Skowyt.

Wściekły ryk gwałciciela.

Mój krzyk.

Szczeknięcie psa.

Nagle mój dręczyciel znieruchomiał. Chwycił mnie za włosy i przyciągnął do siebie moją twarz. Miał nienawiść w oczach.

– Jak ten kundel się nie uspokoi, to go zatłukę! – syknął. – Zatłukę skurwysyna i wyniosę na śmietnik!

Wiedziałam, że był do tego zdolny. Po prostu wiedziałam. Przystałam się bronić, bo tylko tak mogłam uspokoić Maksa. Łzy obficie wyciekały z moich oczu, gdy leżałam jak kukła. Chciałam tego nie czuć. Tak bardzo chciałam. Próbowałam myśleć o... czymkolwiek, ale im bardziej próbowałam, tym bardziej nie potrafiłam. Wiedziałam tylko, że to koniec. Wszystko się skończyło. Moje życie dobiegło końca. Może i było podłe, ale przynajmniej nie było zbrukane. Do teraz. Czeakałam już tylko, aż skończy.

Rozdział 1

Jakie jest moje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa? Co zapamiętałam z tego okresu? Niewiele. Tylko jakieś przeblyski, pojedyncze obrazy. Pewnie każdy tak miewa. Niestety, najmocniej tkwią w nas złe wspomnienia. Im gorsze zdarzenia, tym bardziej potrafią się wryć w nasz umysł. Nic tego nie zmieni. Najwyraźniej tak jesteśmy zbudowani. Ale dlaczego? Być może pamiętanie złego ma nas chronić w przyszłości przed podobnymi zagrożeniami? Albo to zwykła trauma.

Co zatem pamiętam? Nie mam wiele wspomnień. Jest jednak pewne miejsce. To zwykła piaskownica. Właściwie nie ma w niej nic szczególnego. Ile takich piaskownic było w moim życiu? Niech policzę... Jedna. Boże, jedna! Co prawda nie wiem, ile piaskownic odwiedzała dzieci w swoim życiu, ale żeby jedną? To wcale nie brzmi dobrze. Czy to kolejne potwierdzenie, że moje życie od dziecka nie było idyllą? Może jestem przewrażliwiona, ale jedna piaskownica w całym życiu? Pewnie dlatego ją pamiętam, chociaż musiałam w niej bywać, gdy miałam mniej niż cztery lata. To okres, z którego raczej niewiele się pamięta, a jednak to utkwiło w mojej pamięci. Może to było dla mnie najszczęśliwsze miejsce w tamtym okresie? Moja arkadia? Biblijny Eden? Eldorado mojego dzieciństwa? Moje niebo szczenięcych lat? Zapewne tamta piaskownica była tym wszystkim po części. Pamiętam, że często się w niej bawiłam. Dziwne jednak, że nie pamiętam w niej nikogo innego. To sprawia, że czasami się zastanawiam, czy piaskownica rzeczywiście istniała. Ale istniała! Musiała istnieć! Bez niej moje dzieciństwo byłoby fałszywe, niepełne. Kto chciałby mieć fałszywe dzieciństwo? Tym bardziej że później moje życie było pozbawione takich niemal magicznych piaskownic i to przez długi czas. Nie mogłam znaleźć swojego miejsca. Długo. Zbyt długo.

Więc co z tą moją piaskownicą? Próbuję sobie przypomnieć, co takiego niezwykłego w niej było. Pamiętam piasek, a gdy dobrze się skupię, wydaje mi się nawet, że go czuję. Jest delikatny w dotyku, drobny, jednak nie pamiętam, żeby był ciepły. Nigdy nie był ciepły. Może dlatego, że piaskownica zawsze znajdowała się w cieniu budynku. Pamiętam też, że nie trzeba było długo kopać, żeby dotrzeć do mokrych pokładów piasku.

Miałam niebieską łopatkę. Nie... czerwoną. Nie... Tak naprawdę nie mam pojęcia, jaki miała kolor. Czy to ważne? Czasami lubię sobie wizualizować, że kopię w owej piaskownicy czerwoną łopatką. Tylko dlaczego czerwoną? Przecież to nawet nie jest mój ulubiony kolor.

– Proszę, kupiłem ci elegancką sukienkę w twoim ulubionym kolorze – powiedział raz mój mąż, podając mi zielony strój, który ledwie sięgał do moich pośladków.

– Zobacz, jaka śliczna czapeczka – uśmiechnęła się do mnie mama, naciągając mi prezent na głowę. – W twoim ulubionym, niebieskim kolorze – dodała.

– Zobacz, przemaalowałem ci pokój – oświadczył ojciec, gdy wróciłam ze szkoły. – Teraz masz brązowe ściany, w twoim ulubionym kolorze.

Dlaczego przez większość mojego życia nikt z bliskich nie wiedział, jaki jest mój ulubiony kolor? Na pewno nie zieleń! Nie błękit! I w życiu nie brąz! Tylko miłość mojego życia wie, jaki jest mój ulubiony kolor. Zna mnie najlepiej, chociaż znalazłam ją niedawno.

Dlaczego więc wyobrażam sobie, że łopatką jest czerwona? Może chodzi o krew? Tak, to mocne skojarzenie. I ma podstawy. W piaskownicy, nie wiem dlaczego, bawiłam się często na bosaka. W domu było raczej skromnie, a nawet ciężko, jednak chyba nie chodziło o to, że nie miałam bucików. Sama nie wiem. W każdym razie większość moich wspomnień z piaskownicy wiąże się z bosymi stopami. Do dziś niemal

czuję tamten piasek. To zawsze powraca, gdy chodzę po plaży. Dziwne. Pierwsze wrażenie to nie radość, że spaceruję brzegiem morza, ale jakaś nieplanowana podróż myślami w przeszłość, do odległych czasów. Pamiętam przecież, że któregoś razu wbiło mi się w stopę szkło. Nadal prawie czuję tamten ból. Chyba dlatego, że nie miałam okazji go przecierpieć. Nie miałam szansy. I dlatego ta łopatka czerwona. Dlatego ta krew.

– Co to za grymas?! – wściekł się wówczas mój ojciec.

To on zaprowadził mnie do lekarza. Dlaczego nie mama? Nie pamiętam. Może nie chcę pamiętać. To zresztą nie ma znaczenia.

– Nie wolno ci płakać! – powiedział ojciec, gdy dotarliśmy do przychodni. – Nie wolno, bo jesteś dzielną dziewczynką! Jesteś dzielna?

Kiwnęłam głową, dusząc w sobie ból, który wściekle szalał w mojej nodze. Musiałam przekonywać sama siebie, że go tam nie ma.

– Bo wiesz – ojciec pogroził palcem – dzielne dziewczynki nie płaczą. Rozumiesz? Nie płaczą!

Nie płakałam. Zaciskałam tak mocno zęby, że żadna łza nie śmiała wymknąć się z moich oczu.

Sama nie wiem, czy powinnam za to dziękować tacie, czy go przekląć. W końcu zawsze mi powtarzał:

– Nie możesz pozwolić sobie w kaszę dmuchać! Rozumiesz? – Innym razem mówił: – Musisz sobie tak radzić, żeby nikt cię nie śmiał skrzywdzić! – Jeśli ktoś ci będzie dokuczał, po prostu mu przywal! – dodawał niekiedy.

I rzeczywiście radziłam sobie. Nie dawałam sobie dmuchać w tę przeklętą kaszę! Nigdy się nie bałam. Nie pozwalałam się krzywdzić ani jako dziecko, ani jako nastolatka. Aż pojawił się Rafał.

Owa piaskownica znajdowała się od strony podwórza. Mieszkaliśmy wtedy w czteropiętrowym bloku, do którego wprowadziliśmy

się, gdy byłam niemowlęciem. Spędziłam tam około czterech lat życia. Mogę zatem napisać, że wychowałam się w Krakowie na ulicy Józefińskiej. To w dzielnicy Podgórze, na prawym brzegu Wisły. Nie wiem, czy to położenie miało jakiś wpływ na to, jak ukształtował się mój charakter lub los, ale wolę myśleć, że miejsca nie mają na nas aż takiego wpływu. Po cichu jednak przyznam, że mają większy, niż komukolwiek się wydaje. Nawet mnie samej. W końcu Podgórze to takie miejsce na styku różnych obszarów geograficznych. Z jednej strony jest pięknie nazwana Brama Krakowska, gdzieś dalej – Nizina Nadwiślańska, a tuż obok – Podgórze Bocheńskie i Pogórze Wielickie. I ja też chyba byłam przez lata jakby na styku. Byłam na styku dzieciństwa i dorosłości. Na styku radości i smutku. Byłam na styku szczęścia i nieszczęścia, miłości i nienawiści. Tak jak Podgórze. Niecałe 131 kilometrów kwadratowych mojej odległej przeszłości. To wszystko mnie otaczało. I stacja kolejowa, i szpital dla dzieci, i telewizja, i Kopiec Krakusa. I wszystko inne.

Gdybym była w tamtym czasie nieco większa, powiedziałabym, że nasiąkałam klimatem ulicy Józefińskiej. Jednak nie byłam. Mogła zatem nasiąkać jedynie moja pielucha. Jako smarkuła, która dopiero odrosła od ziemi, nie interesowałam się ani układem przestrzennym, ani tym, że ta ulica powstała w miejscu dawnego traktu prowadzącego do Wieliczki, ani niczym podobnym. Dopiero po latach dowiedziałam się, że mieszkałam w miejscu, gdzie było krakowskie getto. I czy takie miejsce może nie oddziaływać na życie człowieka? Nawet nieświadomie odczuwa się tragedię, która, chociaż wydarzyła się w przeszłości, to jednak miała miejsce w okolicy. Tam każdy kamień krzyczał, każdy mur nosił imiona zamordowanych i tych, którzy umarli z głodu albo przez choroby. Jednak w czasach mojego wczesnego dzieciństwa biegałam wokół tych budynków i nie miałam żadnej świadomości, co tam

się wydarzyło. Ludzie zajmowali się codziennymi sprawami, bo tak było trzeba. Łatwiej zapomnieć niż pamiętać, bo człowiek mógłby co najwyżej zwariować. Czy jednak na pewno nie zwariowaliśmy? Patrząc na to, co dzieje się wokół, mam wątpliwości.

Budynek, w którym mieszkaliśmy, był zwykłym czteropiętrowym blokiem. Nic szczególnego. Takich bloków było wiele na Podgórzu i to w różnym stanie. Oczywiście mnie to nie obchodziło. Który dzieciak zwracałby uwagę na stan budynku, w jakim mieszka? Na pewno nie czterolatek! Prawdę mówiąc, jak patrzę z dzisiejszej perspektywy dorosłego człowieka, to była to po prostu zwykła rudera, ale przecież była częścią moich wspomnień. Dla mnie ma zatem wartość sentymentalną i dlatego mogę ją sobie idealizować, mitologizować. Po prostu mogę.

Na Józefińskiej mieszkaliśmy na ostatnim piętrze, co dawało niezłe możliwości, jeśli tylko miało się trochę więcej niż cztery lata. Mogę się tylko domyślać, że starsze dzieciaki chętnie wspinały się na czwarte piętro. Stamtąd zapewne miały dostęp do wolności, do niezwykłej, chociaż zakazanej przestrzeni – do dachu. Czasami wydaje mi się, że widzę jakieś migawki, w których szkraby wdrapują się po drabince właśnie na dach. A to otwierało zupełnie nowe możliwości dla dziecka. Tam można wszystko lub prawie wszystko. Gdyby któraś z moich córek bawiła się na dachu, chyba umarłabym! Jednak wiem, jak dach przyciąga. To powiew wolności. W takim miejscu czujesz, że wszystkie kłopoty zostały na dole, daleko. Na dachu już cię nie dosięgną. Ty jesteś władcą, ty rządzisz. Na dachu decydujesz o życiu. I decydujesz o śmierci. Bo przecież wystarczy zrobić krok. Boże, ile razy w życiu chciałam go zrobić! Ile razy byłam blisko. Szczególnie po małżeńskich awanturach. Tak, dach to zupełnie nowe możliwości. To miejsce, gdzie można podjąć decyzję ostateczną.

Czwarte piętro miało jednak tę wadę, że trzeba było pokonać dużo schodów, aby tam dotrzeć. Przynajmniej dla tak małego dziecka, jakim byłam w tamtym czasie, była to niewyobrażalna liczba stopni do pokonania. Owszem, często rodzice zanosili mnie na rękach, jednak nie zawsze. Szczególnie wtedy, gdy... byli zmęczeni, tak to ujmę. Może jeszcze kiedyś o tym opowiem. Pokonywałam zatem schody, obojętnie w jakiej formie. Nasze mieszkanie znajdowało się po prawej stronie. Po przeciwnej stronie, na końcu korytarza była toaleta dostępna dla wszystkich mieszkańców z naszego piętra. I tak na każdej kondygnacji. O wygodce w mieszkaniu można było tylko pomarzyć.

Pamiętam to nasze mieszkanie. Wydawało mi się wtedy duże, ale przecież byłam małym dzieckiem. Dla takiego szkraba wszystko jest duże. Wszystko. Po otwarciu drzwi od razu wchodziło się do kuchni, która była jednocześnie przedpokojem. Po prawej stronie był duży pokój, gdzie spali rodzice, natomiast naprzeciwko drzwi do mieszkania znajdował się nasz pokój. Nasz, bo miałam jeszcze brata.

Czy pamiętam coś jeszcze? Znowu strzępki, ale wydaje mi się, że tamten okres był jednym ze szczęśliwszych w moim dzieciństwie. Mam jednak nadzieję, że nie dlatego, iż pamięć się nieco zamazała. Chociaż w głowie zostały przebłyski moich uśmiechów, radości i dziecięcych szaleństw, to jednak okazało się, że pobyt na Józefińskiej składał się nie tylko z tego. Któregoś dnia, już jako dorosła kobieta, oglądałam w markecie kieliszki do szampana lub szklanki. Nagle zakręciło mi się w głowie, co raczej się nie zdarzało. Nie, nie upadłam. Jednak w głowie pojawiły się błyski, które wypełniał tylko jeden motyw – szkło. Z początku nie zrozumiałam, o co chodziło. To wszystko wydawało się nie mieć sensu. Przeszło mi szybko, ale to szkło nie dawało mi spokoju przez resztę dnia. Nie mogłam jednak znaleźć żadnego powiązania. W końcu doszłam do wniosku, że to

był jakiś psikus umysłu, bez żadnego znaczenia. Ale los tak szybko nie odpuszcza. Teraz myślę, że ta sytuacja była przygotowaniem do powrotu do przeszłości. Gdy wieczorem przygotowywałam kolację, nieszczęśliwie potrąciłam szklankę na stole, a ta stoczyła się z niego i z trzaskiem upadła na płytki. Niewiele z niej zostało. I wtedy znowu powróciły błyski ze szkłem w roli głównej. Przysiadłam na taborecie, jakby mnie coś nagle przydusiło. Szkło? Szklanka? Coś uporczywie tłukło się w mojej głowie, ale nie mogło się przebić do świadomości. Jakby coś wszystko blokowało. Jakbym wyparła coś dawno temu z mojego umysłu. Co się ze mną dzieje? – myślałam i kręciłam głową w narastającej rozpaczy.

Nagle znieruchomiałam. Zobaczyłam w mojej głowie wyraźne obrazy. Musiałam je wyprzeć z pamięci jako dziecko, bo nie były przyjemne. Szkło nie było przypadkowe, nabrało sensu. Szklanka przywołała zdarzenia z przeszłości niczym słynna magdalenka w powieści Prousta. Tyle że ja nie szukałam straconego czasu. Ja chciałam od niego uciec. Tymczasem miniony czas sam mnie odnalazł i to niezbyt przyjemnymi wspomnieniami. Najpierw przypominałam sobie, jak któregoś dnia rozbiłam szklankę w naszym mieszkaniu na Józefińskiej. Sekwencja wydarzeń mogła być podobna do tej, jaka miała miejsce tego wieczoru, szczegóły się jednak nie pojawiły. Obraz zaczynał się bowiem od spadającej na podłogę szklanki. A nawet nie tyle widziałam spadającą szklankę, ile słyszałam w głowie huk tłuczonego szkła. I znowu poczułam tamten strach. Powróciło przerażenie małej dziewczynki. Niestety, w moim życiu to przerażenie powracało często. I zawsze czułam się bezradna. Gdy byłam bita, gdy byłam upokarzana, gdy byłam upodlana, gdy byłam zdradzana. Zawsze. I tak siedząc na taborecie, przywołałam w pamięci tamtą roztrzaskaną szklankę z dzieciństwa. Poczuałam tamten strach, tamto przerażenie. Wyraźnie zobaczyłam,

jak pospiesznie zbieram kawałki szkła, byle szybciej, byle nikt nie zobaczył. Przecież matka zrobiłaby mi okropną awanturę. Nie cierpiała, gdy jej mała córeczka niszczyła cokolwiek. Na pewno czekałaby mnie kara. Przypomniałam sobie, jak zebrane kawałki szkła wsunęłam pod moje łóżeczko. Odetchnęłam. Byłam już bezpieczna. Matka nie będzie na mnie krzyczała, bo dowód winy został schowany. Ale to nie był koniec. Znałam ciąg dalszy. Moja pamięć już go odnalazła w przeszłości. Szybko zrozumiałam, dlaczego takie wydarzenia wypiera się z głowy, spycha się w niebyt, owija się zaprzeczeniem i topi w nieistnieniu. Znowu wszystko naznaczyła krew. Wciśnięta w przeszłość patrzyłam, jak wsuwam – ja, mały szkrab – dłoń pod łóżeczko w poszukiwaniu ukochanej zabawki, gdzie rozbita szklanka czyhała z zasadzką. Czułam, jak szkło wbija się w moją rękę, jak z łatwością niszczy skórę, jak grzeźnie głęboko blisko głównej żyły.

Spojrzałam na rękę. Blizna w postaci półksiężyca pozostała do dziś. Przez tyle lat nie mogłam sobie przypomnieć, skąd się wzięła. To przez lata było zakopane gdzieś głęboko w mojej głowie. A teraz wyszło. Ujawniło się. Potarłam bliznę, jakbym znowu poczuła tamten ból sprzed lat.

Kolejne wspomnienie ze szklanką, jakie odzyskałam tamtego wieczoru, było jeszcze gorsze. To chyba jednak nie powinno mnie dziwić, dlaczego nagle życie miałoby mnie rozpieszczać? Już dawno zrozumiałam, że sprawiedliwość to tylko pojęcie abstrakcyjne, jakaś teoria akademicka, która ma się nijak do życia zwykłego człowieka. Wcale się już nie dziwiłam, że kolejne wydarzenie również zniknęło na długo w zakamarkach mojej pamięci, do których raczej nie zaglądam. Teraz samo wypełzło. Widocznie nadszedł jego czas, czas przypominania.

Siedziałam przy stole sama. Nie pamiętam dokładnie, ile mogłam mieć wtedy lat, ale na pewno byłam mała. Mama poszła do sąsiadki

naprzeciwno. Często tam chodziła, widocznie musiała od czasu do czasu odsapnąć od domu. Potrafiła przesiadywać u niej godzinami. Przyjmijmy tak mi się wydaje. Przyjmijmy, że sąsiadka miała na imię pani Krysia. To była bardzo energiczna kobieta, zaradna. Wiem, że mama prosiła ją o pomoc w różnych sprawach. Można powiedzieć, że to była taka kobieta-wsparcie. Miała dzieci, ale były zdecydowanie starsze ode mnie. Nie pamiętam, żeby się z nimi bawiła. W ogóle słabo je pamiętam. Widocznie byłam dla nich za mała, żeby być kompanem do zabawy. W każdym razie, jeśli nie można było znaleźć gdzieś matki, to wiadomo było, że jest u pani Krysi.

Siedziałam więc tamtego dnia, w odległej już przeszłości, sama. Piłam herbatę. Była gorąca, więc bardziej siorbałam małe łyki, niż brałam duże hausty. Trwało to dość długo i w końcu zaczęło mi się nudzić. Normalnie pewnie uciekłabym stamtąd ze złością, ale najwyraźniej bardzo chciało mi się pić i dlatego siedziałam pokornie przy stole. Na co dzień raczej pokorna nie byłam. Potrafiłam pokazać różki, które rodzice musieli temperować. Majtałam nogą i siorbałam gorącą herbatę. To był ten sam stół, przy którym rysowałam. Niestety, nie pamiętam co. Szkoda, że nie zachował się ani jeden rysunek z mojego dzieciństwa. Nie wiem zatem, czy były to jakieś zwierzątka, rośliny, postaci z bajek, czy może jakieś mroczne wizje z traumatycznych przeżyć, bo bywało różnie.

Herbaty w szklance było coraz mniej. Wierciłam się na krześle coraz bardziej. Pamiętam, że raz o mało nie zrzuciłam ramieniem szklanki ze stołu, ale wcale się tym nie przejęłam. Majtałam nogą coraz mocniej i siorbałam coraz głośniejsze, jakbym chciała, żeby ktoś mnie ukarał za niestosowne zachowanie przy stole. Jednak nikogo nie było w pobliżu. Z minuty na minutę stawałam się więc coraz bardziej bezkarna i nawet mi to odpowiadało. Nie zmienia to faktu, że ciągle

potwornie się nudziłam. Moje znudzenie rosło wprost proporcjonalnie do ubywania herbaty w szklance.

W końcu szklanka uśmiechnęła się do mnie pustką. Nie została nawet kropelka napoju. Jednak nie zaprzestałam picia i siorbania. Dopiero po chwili zorientowałam się, że nic nie wpada do moich ust. Strasznie mnie to zezłościło. Tak bardzo, że ugryzłam nagle tę szklankę. Tak po prostu, zwyczajnie. Usłyszałam tylko charakterystyczny chrzęst i poczułam, że w ustach mam kawał szkła. Nie, wcale go nie wyplułam. Pewnie każdy by to zrobił, jednak ja nie byłam każdym. Byłam niepokorna. Przecież ojciec uczył mnie, żeby być twardą. Czy twardzielka wypłuka szkło? Ona je zjada na śniadanie!

Zaczęłam gryźć kawałek szklanki przetrzymywany w ustach. Chrzęst stał się jeszcze głośniejszy. Nagle poczułam, jak coś ciepłego rozlewa się po mojej brodzie. Znieruchomiałam przerażona. Ciepłej cieczy było coraz więcej. Dotknęłam ręką brody. Moja dłoń była czerwona od krwi.

– Mamo! – wrzasnęłam blada. – Mamo! Mamusiu!

Okropnie wystraszona zerwałam się z krzesła i popędziłam do pokoju rodziców. Dopiero tam dotarło do mnie, że jestem sama w mieszkaniu. Wpadłam na korytarz.

– Mamo! Mamo! – nie przestawałam wrzeszczeć.

Wtedy zza drzwi swojego mieszkania wyjrzała pani Krysia.

– O mój Boże! – jęknęła na mój widok. Mama także pobladła.

Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Poza drobnymi ranami w ustach nic mi się nie stało. Za to moja mama była naprawdę wściekła. Nie wiem tylko, czy o tę szklankę, czy o moje rany. W każdym razie szkło najwyraźniej przyciągało mnie od dziecka.

Teraz gdy dłużej rozmyślam o Józefińskiej i moim wczesnym dzieciństwie, które tam spędziłam, przypominają mi się również inne

drobne wydarzenia. To zwykle jakieś codzienne czynności. Niby nie nieznaczące, ale jednak tkające na swój sposób obraz mnie jako młodej dziewczynki i otaczającej mnie wówczas rzeczywistości. Podobno człowiek chętnie wraca do takiej przeszłości, a im starszy, tym dalej próbuje w nią sięgnąć. Chociaż ja się wcale nie czuję staro! Mimo to nagle się okazało, że potrafię sięgnąć naprawdę głęboko. Tylko czy to wszystko jest prawdą? Czy mój umysł czegoś nie dopowiada? Czy nie tka przypadkiem własnego wyobrażenia o tym, co było? Czy nie pokazuje mi fałszywej wersji wydarzeń? Niestety, tego już się nigdy nie dowiem. Mam tylko mój własny umysł i żadnego innego źródła. Wszystkie inne źródła albo pożegnały się z tym światem, albo nie są wiarygodne. Może kiedyś o tym również opowiem, ale teraz to nie ma znaczenia.

Siedziałam na swoim taborecie kuchennym i szukałam w głowie wesołych wydarzeń z Józefińskiej. Miałam już dość tych dramatycznych wspomnień, w których krew leje się zbyt obficie. Musiały być również pozytywne chwile! Musiały być.

I wtedy przypomniałam sobie sprawę ze sznurowaniem butów. Mimowolnie się uśmiechnęłam, bo to prawdziwa iskierka czegoś dobrego pośród tych wszystkich strasznych wspomnień. Opowiadałam to kiedyś jednej z moich córek. W mieszkaniu na Józefińskiej mieliśmy szafkę obrotową, która stała w kącie kuchni niedaleko drzwi wejściowych. Trzymaliśmy w niej buty. Pewnego dnia obudziłam się bardzo wcześnie. Nie mogłam spać, chociaż raczej należałam do śpiochów w naszej rodzinie. Jakaś siła, głos lub może zwykła nuda kazały mi ześlizgnąć się z łóżka i pomaszerować do kuchni. Wszyscy jeszcze spali, bo świt dopiero się przeciągał. Od razu skierowałam się do szafki z butami, jakbym dobrze wiedziała, co chcę zrobić. Nie jestem jednak pewna, czy tak było rzeczywiście. Długo patrzyłam na obuwie, jakbym

widziała je pierwszy raz w życiu. Chwyciłam swoje trampki i obejrzałam je ze wszystkich stron. Nagle uświadomiłam sobie, że przecież nie potrafię zrobić z nich użytku sama, bez niczyjej pomocy. Nie umiałam wiązać butów. Usiadłam zatem przy drzwiach i próbowałam sobie przypomnieć, jak inni wiążą swoje obuwie. Nie było to łatwe. Miałam wrażenie, że każdy człowiek robił to na swój sposób. Potem pozostało już tylko przejść do praktyki. Na początku nie wiedziałam, jak się do tego zabrać, zwykle ktoś starszy pomaga w nauce wiązania sznurowadeł. Byłam jednak sama i zdana na siebie. Próbowałam raz za razem, ponosiłam porażkę za porażką, ale się nie poddawałam. Ciągłe wychodziły mi jakieś supły, wszystko się płało, a najgorsze było rozplątywanie nieudanego wiązania. Każda porażka sprawiała, że kolejnym razem skupiałam się jeszcze bardziej i bardziej. Gdy było trzeba, pomagałam sobie zębami. Kilka razy byłam blisko zwątpienia. Już myślałam, że się nie uda.

– Boże, dziecko. – Mama pokręciła głową, gdy mnie zobaczyła. – Jak ty to zrobiłaś?

Wpatrywała się z niedowierzaniem w moje zawiązane buty. Okazało się, że próba samodzielnego zawiązania butów zajęła mi aż dwie godziny, ale dałam radę! Byłam naprawdę niezłym samoukiem. Zresztą, byłam nim przez całe życie. Ta nauka wiązania sznurowadeł była zaledwie początkiem. Potem sama nauczyłam się pływać, jeździć na rowerze, rolkach i łyżwach. Zawsze miałam w sobie tyle determinacji, żeby osiągnąć wyznaczony cel i to bez niczyjej pomocy. Potrafiłam zacisnąć zęby i być taką, co to „nie daje sobie w kaszę dmuchać”. Zawsze starałam się być dzielna. Ale i tak płakałam. Płakałam nieraz i zapewne jeszcze zapłacę, chociaż ostatnio łyzy leją się rzadziej. Z tym też sobie poradzę, bo łatwo się nie poddaję. Mam dla kogo być zdeterminowaną.

To chyba wszystko z mojego wczesnego dzieciństwa. Wszystko z Józefińskiej. Wszystko z Podgórza. Więcej wspomnień nie pamiętam, ale nie żałuję tego, że jakieś zostały w mojej głowie. Taka właśnie byłam od dziecka. Taka jestem. Czy ktoś da mi rozgrzeszenie, bo oddychałam tak, a nie inaczej? Bo śmiałam się w ten, a nie inny sposób? Bo płakałam bardziej histerycznie niż inne dzieciaki? Czy ktoś wyciągnie do mnie rękę? Czy po prostu dalej będę siedziała samotna i przytłoczona życiem na tym starym taborecie w kuchni? Chcecie poznać moją historię? Dobrze, ale uprzedzam, nie będzie to miła opowieść.

Rozdział 2

Był 7 kwietnia 1996 roku, dzień, który zapamiętam do końca życia. Nie dlatego, że powinien być najszczęśliwszym dniem w moim życiu. Dlatego, że był najgorszym dniem w moim życiu. Od tego przecież się zaczęło. Choć nie... zaczęło się dużo wcześniej. Jednak po kolei.

Rafał coś w sobie miał, nie do końca potrafię to nazwać, nawet teraz, po latach. Może chodziło o jakiś urok osobisty, a może po prostu wydawał się czarującym mężczyzną? A może to było coś nieuchwytnego, nienazwanego, co wyczuwa się w drugim człowieku instynktownie, podskórnym, emocjonalnie? To pewnie sprawia, że ludzie się w sobie zakochują. Gdybym umiała to nazwać, odkryłabym tajemnicę miłości, a przecież do tej pory nikomu się to nie udało. U nas w każdym razie nie zaczęło się od miłości, a od przyjaźni.

Gdy go spotkałam po raz pierwszy, miał 19 lat, a ja byłam zaledwie piętnastoletnim podlotkiem. Cztery lata różnicy to niewiele w związku, ale w rzeczywistości była to różnica pokoleniowa, co najlepiej widać na przykładzie zupełnie odmiennych gustów

muzycznych. Gdy jednak spotykają się dwie osoby, wiele barier znika jak za skinieniem czarodziejkiej różdżki, zmieniają się priorytety. Moje zapewne również się zmieniły, gdy tamtego dnia zobaczyłam Rafała po raz pierwszy.

To było w Szwecji. Pojechałam tam w wakacje do pracy jako pomoc w wesołym miasteczku, bo tam pracował już mój brat, Kuba.

– Strasznie się za tobą stęskniłam! – krzyknęłam, gdy tylko zobaczyłam brata.

Jak dzieciak zawisłam na jego szyi. Zawsze tak robiłam, a on zawsze miał cierpliwość do tych wygłupów.

– Musisz na siebie uważać – ostrzegł mnie od razu.

– Co masz na myśli? – zapytałam zdziwiona.

Wzruszy ramionami.

– Nic konkretnego – mruknął. – Jesteś młodą dziewczyną i niektórzy faceci mogą pomyśleć, że...

– Że co?

Machnął ręką.

– Po prostu uważaj – poprosił.

Już miał zaprowadzić mnie do mojej przyczepy, gdy zatrzymał nas głos:

– A któż to nas odwiedził?!

Zaraz potem zobaczyłam wysokiego, przystojnego szatyna z bardzo miłym uśmiechem. Przyznam, że poczułam się nieco zawstydzona.

– Nie przedstawisz mnie tej pięknej damie? – zapytał chłopak, nie odrywając ode mnie oczu.

Kuba westchnął i zrobił to bardzo głośno, jakby chciał, żeby wszyscy słyszeli.

– Cześć, śliczna – zwrócił się do mnie chłopak. – Jestem Rafał, a dla przyjaciół... też Rafał.

Zaśmiałam się jak głupiutka trzpiotka, ale wtedy naprawdę bawił mnie ten żarcik.

– Co słyszać u twojej dziewczyny? – zagadnął nagle Kuba.

Z twarzy Rafała zniknął uśmiech, za to wyraźnie zagościło na niej zmieszanie. Tylko na chwilę, bo zaraz chłopak znowu się zaśmiał.

– W porządku – mruknął i zwrócił się do mnie: – A więc będziesz z nami pracowała. Długo zostajesz?

Nim zdążyłam odpowiedzieć, odezwał się Kuba:

– Tylko do końca wakacji. Przecież musi wracać do szkoły.

Potem chwycił mój plecak i ruszył w kierunku jednej z przyczep. Zrozumiałam, że muszę iść za nim. Na odchodne pomachałam jeszcze do Rafała. Tak właśnie go poznałam. Zaczęliśmy razem pracować, a praca bardzo zbliża ludzi. W czasie wolnym dużo spacerowaliśmy i rozmawialiśmy. Lubiłam te pogawędki, on najwyraźniej też. Kuba jednak nie podzielał naszego entuzjazmu. Był zły za każdym razem, gdy widział mnie z tym chłopakiem.

– O co chodzi? – próbowałam się dowiedzieć.

Brat jednak rzucał tylko:

– Uważaj na niego.

Potem odchodził. W końcu doszłam do wniosku, że pewnie jest zazdrosny, bo nie spędzam z nim tyle czasu, ile poświęcam Rafałowi. Teraz myślę, że wiedział coś więcej. Niestety, nie był taki stanowczy, jaki powinien być starszy brat.

Tymczasem mi bardzo imponowało, że Rafał się mną interesuje. Jeszcze nikt nie poświęcał mi tyle czasu. To było naprawdę przyjemne. Na początku traktowałam go jak kolegę i byłam pewna, że on patrzy na mnie podobnie, miał przecież dziewczynę w Polsce. Dużo o niej opowiadał i to w bardzo ciepły sposób. Raz nawet wspólnie wybieraliśmy dla niej kartkę na urodziny. Bardzo się przy

tym wyglądaliśmy. Z czasem jednak zaczęło się coś zmieniać. Coraz częściej patrzyłam na niego zupełnie inaczej. Myślałam o nim poważniej, aż w końcu zrozumiałam, że się w nim zakochuję. On z czasem coraz rzadziej wspominał swoją dziewczynę, a mówił częściej o nas.

Pracowaliśmy razem przez trzy miesiące. To naprawdę wystarczający czas, żeby dwoje ludzi mogło się do siebie zbliżyć. Niestety, wakacje dobiegały do końca i musiałam wracać do Polski. Rafał zamierzał zostać w Szwecji jeszcze przez kilka miesięcy.

Mój ostatni dzień w pracy był bardzo ciężki. Z wesołym miasteczkiem przyjechalśmy do Hultsfred, miejscowości w południowo-wschodniej części Szwecji. Tyraliśmy aż do drugiej w nocy, byłam naprawdę wykończona. Marzyłam tylko o tym, żeby rzucić się na łóżko i zasnąć.

Ledwie doczłapałam do mojej przyczepy, którą dzieliłam z jedną ze starszych dziewczyn. Przez chwilę nawet poważnie się zastanawiałam, czy położyć się do łóżka w ubraniu. Sama myśl, że miałabym zdejmować po kolei poszczególne części garderoby, doprowadzała mnie do rozpacz.

Mój dylemat rozwiązało natarczywe pukanie do drzwi przyczepy. Nie miałam pojęcia, kto może być taki upierdliwy w środku nocy. Pomyślałam o Kubie, ale nawet to wydało mi się absurdalne.

W końcu otworzyłam. To był Rafał. Patrzył na mnie, jakby nie był pewny mojej reakcji.

– Przepraszam – wyjąkał. – Wiem, że jest późno, ale czy poszłabyś ze mną na spacer? – poprosił nagle.

Co mogłam na to odpowiedzieć. Przecież to miał być ostatni wspólny spacer przed moim wyjazdem. Kiwnęłam głową, a kilka minut później byliśmy już nad brzegiem pobliskiego jeziora. Było tak cicho, że

słyszałam tylko plusk wody, któremu przygrywały dość nieśmiało odgłosy różnych owadów.

– Wiesz... – zaczął nieśmiało, a przecież do nieśmiałych nie należał. – Bardzo żałuję, że już wyjeżdżasz.

– Co zrobić... – westchnęłam.

– Naprawdę żałuję. Jest mi po prostu przykro. – Uśmiechnęłam się do niego najładniej, jak potrafiłam. Uznałam, że zasłużył na taki gest sympatii. – Ta praca już nie będzie taka sama bez ciebie – ciągnął dalej Rafał. – Nic tu już nie będzie takie samo. Cholera, dlaczego wszystko, co dobre, musi się kończyć.

Chwyciłam jego dłoń.

– Jeśli o mnie chodzi, wołałabym zostać – powiedziałam z trudem, bo głos zaczął mi się łamać.

– Obiecuj.

– Co takiego?

Ścisnął moją dłoń.

– Obiecuj, że napiszesz do mnie list – poprosił.

Kiwnęłam głową, bo tylko to byłam w stanie zrobić. Po raz pierwszy, odkąd przyszedł do przyczepy w nocy, na jego twarzy pojawił się uśmiech. Dotknął dłonią mojego policzka i przez chwilę pieścił go delikatnie. Czułam ciepło jego palców i odlatywałam w jakąś inną przestrzeń. Nagle jego dłoń znieruchomiła. Zaczął się nade mną nachylać, jego usta były coraz bliżej. Czułam jego oddech i wiedziałam, że zaraz złączymy się w namiętym, cudownym pocałunku.

Rozchyliłam usta. Przymknęłam oczy. Czekałam na tę rozkosz.

Z tego stanu upojenia wyrwał mnie krzyk, a właściwie przeraźliwy wrzask. Otworzyłam oczy przerażona. Nad naszymi głowami przelatywały nietoperze. To był niesamowity widok. Niestety, nie dla każdego. Rafał opędał się od nich w panice i krzyczał. Darł się przeraźliwie. To

wszystko wyglądało tak komicznie, że nie wytrzymałam. Wybuchłam śmiechem.

Rafał nagle znieruchomiał, przyglądając mi się z wyrzutem. W końcu rzucił szorstkim głosem:

– Wracajmy, musimy wcześniej wstać.

Nie czekając na moją reakcję, odwrócił się na pięcie i odszedł. Poczłapałam za nim.

Nazajutrz czekałam już z plecakiem na swój transport. Wtedy znowu pojawił się on. Przez chwilę przyglądał mi się, aż w końcu się odezwał:

– Przepraszam. – Z początku nie zrozumiałam, o co mu chodziło.

– Przepraszam za moje zachowanie – wyjaśnił i zza pleców wyciągnął dłoń, w której ścisnął polny kwiat.

– Dla mnie? – wyjąkałam wzruszona.

– Dla najpiękniejszej kobiety w okolicy – wyjąkał. – Ba, w całej Szwecji!

Nachylił się nade mną. Przymknęłam oczy i rozchyliłam usta. Czekałam.

– Jesteś gotowa? – Usłyszałam nagle głos Kuby.

Otworzyłam oczy niepocieszona. Miałam przed sobą wyraźnie rozłoszczonego brata, a obok niepocieszonego Rafała. Wyglądali naprawdę śmiesznie, jednak było mi ich żal.

– Pewnie, że jestem gotowa, braciszku – rzuciłam.

Potem obdarowałam Rafała całusem i szczęśliwa, chociaż nieco smutna przez wyjazd, podreptałam do samochodu. Tak zakończyła się przygoda w Szwecji, ale nie moja przygoda z Rafałem. Chociaż może słowo „przygoda” nie jest odpowiednie w tym przypadku.

Nie muszę wspominać, że czas po powrocie do Polski był trudny. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca, tęsknota szarpała mnie w każdą

stronę. Każda godzina była jak tortury, każdą minutę wypełniało wspomnienie o Rafale. Nie byłem w stanie skupić się na codziennym życiu i na codziennych czynnościach.

Od razu po powrocie do domu napisałam do niego list. Chciałam, żeby wiedział, co czuję, żeby poznał skalę mojego smutku. Poza tym chciałam dostać od niego jakiś znak. Na drugi dzień pognałam na pocztę. Gdy wysyłałam list do Rafała, ręce mi się trzęsły. Pani w okienku dziwnie mi się przyglądała, jakbym była pod wpływem narkotyków. To nic! Nie obchodziło mnie to.

Kolejne tygodnie spędzałam na sprawdzaniu skrzynki pocztowej. Biegałam do niej codziennie nawet po kilka razy. Z każdym tygodniem moja nadzieja była jednak w coraz gorszym stanie. W końcu przestałam biegać do skrzynki, a zamiast tego człapałam do niej. Potem schodziłam do niej co drugi dzień, następnie co kilka dni. W końcu zrozumiałam, że to nie ma sensu. List od Rafała nie nadszedł i zapewne już nie nadejdzie. To był rok 1992, więc nie mieliśmy jeszcze w kieszeniach telefonów komórkowych, a smartfony nawet nie istniały. Nie można było wysłać wiadomości SMS, a międzynarodowe rozmowy telefoniczne były okropnie drogie. Totalna blokada komunikacyjna! Dziś trudno to sobie wyobrazić.

Dlaczego nie odpisał? Po długich rozmyślaniach doszłam do wniosku, że z pewnością pierwszy list do niego nie dotarł. Przecież wszyscy wiemy, jak działała poczta. W tej sytuacji postanowiłam, że napiszę kolejny. Ten był o wiele dłuższy, już się nie hamowałam. Pisałam o wszystkim, co przychodziło mi do głowy, i rozwinęłam te informacje, które znajdowały się w poprzednim liście. Pisałam w totalnym amoku. W końcu skończyłam i od razu pobiegłam na pocztę. Przy okienku dygotałam jeszcze bardziej, a kobieta w okienku patrzyła na mnie jeszcze bardziej podejrzliwie.